

Stanisław Furgal

sekretarz KW PZPR
w Poznaniu

ORGANIZACJA DECYDUJE

W dniach 15—16 stycznia obradować będzie Plenum KW PZPR nad dalszym rozwojem rolnictwa Wielkopolski. Problematyka Plenum KW obejmować będzie trzy podstawowe zagadnienia, a mianowicie:

zagadnienie dalszego, systematycznego wzrostu produkcji zbóż i pasz jako niezbędnego ogniwa, warunkującego pomyślny rozwój całego rolnictwa naszego regionu; zadania w dziedzinie podniesienia aktywności samorządu chłopskiego w jego różnych formach, a więc tych organizacji chłopskich, na barkach których spoczywa w poważnym stopniu uruchomienie rezerw produkcyjnych i prawidłowe wykorzystanie tych wszystkich środków, które państwo przeznacza na podniesienie produkcji rolnej;

zadania zwiększenia stopnia operatywności kierownictwa partyjnego sprawami rolnictwa, co oznacza w praktyce polepszenie stylu, metod i treści pracy partyjnej na wsi i coraz skuteczniejszego oddziaływania partii na szerokie rzesze naszych rolników.

Mamy niemalą rezerw

Miedzy tymi zagadnieniami, istnieją jeszcze ściśle, nierozdzielne związki, którego niedostrzeżenie (lub

pomniejszenie jednego z nich) w pracy partyjnej na wsi, może utrudniać realizację planów rozwoju rolnictwa.

Rozpatrzymy te zagadnienia bardziej szczegółowo i konkretnie. W ostatnich 2 latach, plony czterech podstawowych zbóż wzrosły średnio (gospodarka całkowita) o 1,9 q z ha w porównaniu z rokiem 1960. Zbiory ziemniaków —

będących podstawową paszą dla trzody chlewnej — były wyższe w omawianym okresie o 7 q/ha. Plony buraków cukrowych były stosunkowo dobre. W sumie bilans rolnictwa wielkopolskiego w pierwszych latach 55-latk był na ogół korzystny w dziedzinie produkcji roślinnej. A mimo to mamy w rolnictwie naszym, występujący corocznie, niedobór pasz, szczególnie białkowych, który daje nam się poważnie odczuć, w związku z rozwijającą się hodowlą bydła i trzody chlewnej.

Wiadomo powszechnie, jak wielkie trudności musi pokonywać nasze państwo, zmuszone w takiej sy-



tuacji importować co roku ogromną ilość zbóż i pasz. W tym właśnie imporcie w niemałym stopniu partycypuje jeszcze, znane z wysokiej kultury i gospodarności rolników, województwo poznańskie. Dla przy-

i owsa, wszędzie, tam, gdzie warunki glebowo-przyrodnicze na to pozwalają.

Z drugiej strony zadanie sprawdza się do dalszej intensyfikacji upraw zbożowych i pastewnych szczególnie ziemniaków. Zmiana w strukturze zasiewów winna także zmierzać w kierunku rozszerzania upraw roślin strączkowych, a zwi-

Dokończenie na str. 2

O dalszy rozwój produkcji rolnej

pomnienia podam, że w roku 1961 udział naszego województwa w kosztownym imporcie zbóż i pasz wyniósł ponad 100 tys. ton.

Jaki stąd płynnie wniosek dla naszego rolnictwa? Wniosek jest taki, że trzeba koniecznie uruchomić wszystkie rezerwy wewnętrzne, tkwiące w każdym gospodarstwie rolnym i wykorzystać możliwości zwiększenia zasobów paszowych w rolnictwie. Realizacja tego wniosku prowadzi poprzez zmianę struktury zasiewów, polegającą nie na zmniejszaniu arealu pod zbożowymi, ale — przede wszystkim — na powiększaniu zasiewów pszenicy i jęczmienia kosztem żyta

Upiński i Hipolit Stroiński. Z Brodowa (także pow. średzki) udali się: dniówkarz Stanisław Wesółowski i parobek Józef Tomaszewski. Z Rogalina: dniówkarz Antoni Duemmel i parobek Wawrzyn Waligóra. Z Mosiny: dniówkarze Marcin Flenc i Antoni Teczewski, z Pobiedzisk parobcy: Piotr Kawiński, z Biedlewa (pod Stęszewem) parobcy: Szymon Kasprzała, Andrzej Kowalewski i Stanisław Wawrzyniak.

Na osobną wzmiankę zasłużył sobie wspomniany już o. Maksymilian Tarejwo. Tę niezwykłą postać przed kilku laty przypominał na łamach naszego dziennika Zbigniew Pęcherzski. Tarejwo — kapucyn pochodzenia chłopskiego, cieszył się wielką popularnością w okolicy Łądu. Wiesz go nazywała „naszym ojcem Maksymem”, a szlachta — „burzycelem ludu”, gdyż domagał się sprawiedliwości i ziemi dla chłopów, krytykował szlacheckich synów, którzy w powstaniu dla siebie widzieli tylko karierę polityczną, okazję zademonstrowania elegancji i stopnie oficerskie. Czynił to, jako kapelan w oddziale gen. Taczanowskiego.

Po rozgromieniu oddziału, ukrywał się w swoim klasztorze w Łądzie. Jak sądzi pamiętnikarz Oksiński, wydała go władzom reakcyjna część zakonników. „Burzyciel ludu” został stracony latem 1864 roku na łące pod Koninem.

O Maksymilianie Tarejwie za swoją wierność klasie chłopskiej, za miłość ojczyzny, za oddanie swojego życia wielkiej sprawie — zasłużył na przypomnienie tak jak ci synowie wsi wielkopolskiej, którzy nie bacząc na własne niebezpieczeństwo i narażenie własnych rodzin na prześladowanie, szli na pomoc „braci z Łosna”.

wody Drygasa sobie nie przypominają. Można by z tego wysnuć wniosek, że ze względu na prześladowanie ze strony władz pruskich, niektórzy powstańcy nie przyznawali się do przejścia granicy i udziału w walkach, tym więcej, że byli i tacy współorganizatorzy powstania, jak ks. Cyprian Jarochoński z Pępowa, którzy poszli później na ugodę z Prusakami.

Stąd tak trudno ocenić, ilu chłopów wielkopolskich walczyło za Prosną. Próbe sporządzenia ich wykazu podjął Wacław Truszkowski-Fidler z Bojanowa („Wies i państwo”, maj—czerwiec 1947 r.). Oparł się na aktach: policyjnych, administracyjnych, rządowych i ministerstwa spraw zagranicznych Prus. Naliczył 214 powstańców chłopskich z Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Lista ta nie jest pełna, brak wielu nazwisk, niektóre nazwy miejscowości podano błędnie, trudno też ustalić, w jakim znajdują się powiecie. Brak też nazwisk powstańców z powiatów słuckiego, konińskiego i kolskiego, gdzie działał konspirator chłopski Bartłomiej Nowak, gdzie powstańcy mieli swojego wielkopolskiego Sciegienego w osobie o. Maksymiliana Tarejwy i gdzie rozgrywały się walki z wojskami carskimi. Trzeba przyjąć, że nie 110 chłopów z terytorium obecnego naszego województwa (odliczając tu uczestników z woj. bydgoskiego), ale wielokrotnie więcej — było się o wolność i jedność Rzeczypospolitej, nie szlacheckiej, jaka się śniła stronnictwu „białych”, ale ludowej, o której marzyło stronnictwo „czerwonych”.

Przy tej okazji przypatrzymy się bliżej chłopskim powstańcom. Znajdujemy wśród nich zaledwie 14 gospodarzy, reszta — około 90 procent — to parobcy folwarczni i gospodarscy oraz tak zwani dniówkarze.

Z samego Miłosławia do powstania udało się 3 parobków: Tomasz Górniak, Tomasz Górniak (kuzyn) i Bartosz Machowiak. Z Iwna (pow. średzki) dwóch owczarzy: Wojciech

Krzysztof Monikowski

Winni czy niewinni czarodzieje?

List jest ciekawy. Przede wszystkim dlatego, że tonem swym odbiega od najczęściej nadsyłanych w tej sprawie. Czytelnik nasz nie rozdziera szat i nie syple gromów. Pisze: „Rozumiem, młodzieńcze wszystkich czasów nie grzeszyły nigdy nienagannym obyczajem, była mniej lub bardziej swawolna, lekceważąca świat zastany, moralność i obyczajowość obowiązująca...”. Ale: „Wstyd to powiedzieć — czytam dalej — bo mogę być uznany za człowieka nie nowoczesnego, niewolnika mieszczańskich idei itp., lecz jeśli mam być człowiekiem nowoczesnym i tolerować obyczajowe rozwydrzenie naszej młodzieży, to przepraszam, wolę być zacończem... I pomyśleć, że nie mam nawet 30 lat!”

Przyczyną gorzkich słów naszego Czytelnika są fakty, które zaobserwował na ulicach naszego środowiska, a mianowicie wypadki (dość częste, nie przeczę) niewybrednego zaczepiania kobiet przez 17-letnich młodzieńców. Dlaczego tak się dzieje? Zdaniem naszego Czytelnika „w świadomości 17-latków kształtuje się niebezpieczny proces uprzedmiotowienia kobiety, co uzewewnętrza się świadomym i brutalnym demonstrowaniem seksualnych zainteresowań”. Fakty te „nie zwalniają nas od obowiązku — nie, jak by to chcieli może alarmiści, bicia w wielkie dzwony, ale — zastanowienia się...”

Miałbym na podorędziu łatwy, aptekarski argument, że nie wszystka młodzież jest taka. Każdy z nas — i autor listu chyba także — mógłby podać odmienne przykłady, jako że spotyka chłopców 17-letnich, którzy nie zaczepiają dziewcz-

Dokończenie na str. 3

Franciszek Kirlo-Nowaczyk

Z tradycją na bakier

Moim rozmówcą jest wywodzący się ze wsi, młody inżynier, zatrudniony od paru ładnych lat w jednym z większych zakładów przemysłowych we Wrocławiu. Dorobił się w tym czasie nie tylko żony z miasta, lecz także luksusowego mieszkania i samochodu. Ostatnio nawet zdobył się na wspaniałomyślny gest i zafundował rodzicom, z okazji ich długiego pożycia małżeńskiego, telewizor. Niech sobie starszyszkowie w wolnych od zajęć chwilach popatrzą na ekran.

Ow właśnie telewizor stał się „no-lens volens” przyczyną wymiany zdań na temat zmian, jakim uległa nasza wieś pod wpływem przeciekających na nią szerokim strumieniem tzw. miejskich nawyków i obyczajów. Dotyczy to nie tylko nowego sposobu bytowania na wsi, a więc nowych higienicznych mieszkań, urządzania wnętrz na miejską modę, ubioru i odżywiania. Z tym wszystkim dociera na wieś coś więcej jeszcze, bo zmiany w mentalności mieszkańców. Niesie to z sobą, czy się tego chce czy nie chce, postęp w ogóle.

Radio i telewizor to — zdaniem młodego inżyniera — niezawodne tarany rozbijające stare, zasiedzia-
łe mity i... nie tak dawno jeszcze żywy na wsi kult tradycji. Wiesz nasza, ta najbardziej postępową, żyje obecnie z tradycją na bakier. Chyba w zapadłych gdzieś osiedlach kultury się jeszcze dawny zwyczaj i obyczaj. Na palcach jednej ręki można policzyć wesela wiejskie z tradycyjnymi oczepinami, z tym pachnącym już myszką obrzędem, który bawił jeszcze naszych ojców i dziadków. To samo powiedzieć można o innych zwyczajach, jako że co stare i niemodne, ustąpić musi w erze sputników nowemu. Bowiemy takie prawo każdego postępu w ogóle.

Z dalszych jeszcze wywodów mego rozmówcy wynikało, że nawet kulturowanie tradycji poprzez świetlice i wszelkie zespoły artystyczne, to także dzisiaj anachronizm. To po prostu wyrzucanie pieniędzy i marnowanie wysiłku ludzkiego.

— A co z zespołami, które w taki czy inny sposób, w swej twórczej poniekąd robocie, ożywiają kulturalne życie na wsi, bez odwoływania się do tradycji? — rzuciłem zaczepne pytanie. — Przecież już nie tylko setki lecz tysiące ludzi uprawia na wsi, z mniejszym lub większym powodzeniem, taką właśnie działalność. Czy wieś ma tylko konsumować dobra kulturalne, czy też współtworzyć je w jakiś sposób?

— Raczej, jak pan to określił, konsumować — brzmiała odpowiedź mego interlokutora. — Po to istnieje różnego rodzaju estrady, by nieść na wieś kulturę przez duże K i rugować wszelkie amatorsztwo. Robi to także z dużym powodzeniem telewizja. Naszej wsi potrzeba prawdziwej kultury, a nie jej namiastek. Dotyczy to zwłaszcza zabawy w „robie-niu” tego wszystkiego, co nazywamy tradycją. Nasze

rodzime „huha i oj dano” pozostawmy „Mazowszu” i „Śląskowi”. Niech się w obrazkowej ludowości wyżywa niezastąpiony artysta tej miary, co Siemion i inni.

— Pan zdaje się uważać tradycję za „sui generis” przeszkodę hamującą w pewnym sensie postęp na wsi — podrzucam trochę chytrze.

— Tak. Bo te, swoją drogą urocze wiejskie malowanki, jakoś już nie pasują do naszych czasów.

Muszę przyznać, że jakkolwiek wywody młodego inżyniera nie bardzo przypadły mi do gustu, jego zdanie o bezużyteczności tradycji nie jest odosobnione. Znam działaczy kulturalnych, którzy — podobnie jak mój rozmówca — oscylują pomiędzy problemem niesienia na wieś jak najwięcej „nowoczesności” i problemem kultu dla tradycji. Wielu z nich zajmuje stanowisko, że podniesieniu kultury na wsi bardziej pomogą zawodowy teatr, film, radio i telewizja, niż amatorszczyna. Ze bardziej się tu przysłuży ciekawy odczyt i prelekcja z przedmiotami oraz umiejętnie prowadzona świetlica. Tradycyjne zespoły z ich tradycyjną obrzędowością, to ponoć naprawdę przeżytek, skoro w większości nasza wieś żyje z tradycją na... bakier. Ostatecznie, rzecz warta dyskusji.

Józef Pieprzik



Gdy mówimy o uczestnictwie Wielkopolan w Powstaniu Styczniowym, wymieniamy przeważnie nazwiska organizatorów i dowódców oddziałów: Langiewicza z Krotoszyna, Taczanowskiego spod Koźmina, Działyńskiego z Kórnika, Mycielskiego z Chocieszewic, Mieleckiego, Budziszewskiego i innych ze szlachty. Wyliczają ich w swoich wspomnieniach Ignacy Zieliński i Marceli Motty. Motty także pisze o patriotycznej młodzieży gimnazjalnej Poznania, a ks. Władysław Chotkowski — o 60 zapaleńcach z gimnazjum w Trzemesznie. Spotyka się także nazwiska terminatorów rzeźniących z różnych miast i miasteczek naszego województwa.

Najmniej mówi się o udziale w powstaniu ludzi z proletariatu wiejskiego, a przecież wielu z nich oddało wówczas swoje życie. Pamiętnikarz z powiatu gostyńskiego z 22 kolegów wymienia tylko jednego — Wojciecha Domagałę. Czy to nazwisko jest prawdziwe, trudno dociec. Sam bowiem ów wspominkarz — Ignacy Drygas — jest postacią tajemniczą. Przypina się do pochodzenia z Zimnowodny. Polski Słownik Biograficzny podaje, że po perypetiach wrócił do rodzinnej wsi Tymczasem to nazwisko nie istnieje w aktach urzędu stanu cywilnego w Borku, najstarsi mieszkańcy Zimno-

DYSKUSJA • DYSKUSJA • DYSKUSJA • DYSKUSJA • DYSKUSJA

Kończymy dzisiaj, sprowokowaną felietonem Piotra Życkiego („Gdzie poznański realizm?” — 18 XI 62), wymianę poglądów na niektóre problemy miejskie. Przypominamy, iż w „Głosie Tygodnia” z 16 XII ub. roku oraz z 6 I br. — opublikowaliśmy łącznie 4 wypowiedzi na omawiany temat. Dzisiaj udzielimy głosu autorowi felietonu, który wywołał — jak to wynikało z listów — spore echa wśród naszych Czytelników.

Można by zrobić więcej

Nie mogę oprzeć się chęci dorzucenia „trzech groszy” do dyskusji wokół artykułu P. Życkiego „Gdzie poznański realizm?” Jako przeciętny poznaniak, żywo zainteresowany jestem rozwojem i unowocześnieniem swego miasta, które kocham na równi z innymi, pragnę by odbudowa lub przebudowa nastąpiła jak najszybciej — i to za cenę luksusu, z którego, jak na obecne trudne warunki, z powodzeniem można zrezygnować.

Potrzeb w naszym mieście jest zbyt dużo, aby można sobie pozwalać na zbędne luksusy. Dlatego w pełni aprobuje wywody p. Życkiego, z których przebija naprawdę troska o miasto, w którym żyje i pracuje. Nie jestem żadnym specem ani od projektowania, ekonomii, ani koncepcji przez małe czy duże „k”. Uderzył mnie jednak ton wywodów p. Modrzejewskiego w jego polemicznym artykule. Ton arcynieprzyjemny (...). Tymczasem każdy przeciętny — nie tylko poznaniak — potrafi bez większej wyobraźni przedstawić sobie sytuację, którą przykładowo narysował p. Modrzejewski z dzieckiem, które trzeba „wyposażyć na raty”. Coś z tą wyobraźnią mu się pomieszało. Bo proszę, przypuśćmy, że dziecko rzeczywiście dorasta; kupię mu na po-

czątek na przykład buty, luksusowego gatunku. Na nic więcej na razie nie będzie mnie stać. Co nastąpi? Nogi obute ale t...k goły, plecy, głowa... Następna rata: trzeba kupić czapkę, ale taką „fest”, luksusową. Co dalej? Dalej chyba nie trzeba udowadniać. P. Modrzejewski powiada: innej rady na to nie ma, tak musi być!

Tak samo miasto: z jednej strony luksusy — ulice prowadzące w pole, gdzie jeszcze nic nie ma, grube pieniądze na wyposażenie lokali, (zbędne, to na razie luksus), a z drugiej strony wiele braków i strat, jak np. te miliony, które specje potrafią wyliczyć, corocznie tracone na skutek braku mostów i związanych z tym nakładaniem drogi przez jazdy mechaniczne.

Wbrew temu, co usiłuje wmówić p. Modrzejewski, przeciętni ludzie mają o tym swoje zdanie. Za piętnaście wydane, w okresie 18 lat istnienia wolnego Poznania, niewątpliwie znacznie więcej można by zainwestować, więcej mogłoby powstać obiektów, tak bardzo potrzebnych miastu. Rzecz jasna, obiektów wykonanych środkami znacznie skromniejszymi. Porządny gospodarz wszystko ma — choć ubogo, ale chędogo — powiedzmy otwarcie.

S. K. — Poznań
(nazwisko znane redakcji)

Planowo i — stopniowo

Jest to już chyba trzecia podobna dyskusja zainicjowana przez „Głos” na temat śródmieścia (...). Niechby obecna wykazała, że konieczny jest plan i realizacja tego planu — według potrzeb roku 2000, w którym budowane obecnie domy i ulice będą jeszcze użytkowane.

Czy się tego chce czy nie, śródmieście Poznania pozostanie dzielnicą centralną miasta. Byłoby znaczną lekkomyślnością zmarowanie prawidłowej decyzji, jaką było pozostawienie niezabudowanej jednej strony ulic 27 Grudnia i Czerwonej Armii. Obie muszą stać się szerokimi arteriami, jeżeli mają pod-

lać wymaganiom komunikacji 500-tysięcznego miasta.

System zabudowy „jak przedtem” powoduje znacznie większe koszty niż szerokie ulice i wyższe, ew. oddzielone zielenią, domy. Ile już kosztów powoduje okólny ruch na ulicach śródmieścia, nie mówiąc o niedogodności i tłoku. Według systemu „jak przedtem” zabudowano północną część śródmieścia (ul. 23 Lutego, Cieszkowskiego i ich przedłużenia) przedtem w dość znacznej mierze zburzoną. Uniemożliwiło to unowocześnienie tej dzielnicy, uprzyjemnienie życia mieszkańcom i spowodowało przesunięcie rozszerzenia sieci ulic na XXI wiek (m. in. nie wykorzystano możliwości zbu-

Trudna to rzecz — zebranie myśli, rzuconych w dyskusji. Chciałoby się podkreślić raz jeszcze te, które były szczególnie cenne, a za razem polemizować z sformułowaniami nieprecyzyjnymi, twierdzeniami nietrafnymi, czy wręcz błędnymi. Rzecz w tym, aby w dyskusyjnym, czy polemicznym ferworze — nie zagubić istoty sprawy. Przydarzyło się to Józefowi Modrzejewskiemu, który, próbując rozłożyć mój felieton na elementy i podważyć poszczególne tezy — nie ustosunkował się do meritum sprawy: pewnych przejawów nieliczenia się z aktualnymi potrzebami i możliwościami, nakreślenia niektórych, mało realnych koncepcji — w wyniku czego cierpi organizm miasta, wiele pilnych zamierzeń odkładanych jest ad calendas graecas, a na XX-lecie Polski Ludowej Poznań będzie jedynym większym miastem w kraju o nieuporządkowanym śródmieściu.

Przeciwstawieniem dla taniego optymizmu, jest wypowiedź Czesława Kołodziejczaka, wysuwająca na czoło właśnie kwestię realizowania rozmaitych przedsięwzięć w zgodzie z najpilniejszymi potrzebami i — możliwościami. Cz. Kołodziejczak zwrócił zarazem uwagę na inne słabości organizmu miejskiego oraz dodatkowo uzasadnił potrzebę uporządkowania centrum argumentami ze sfery pozamaterialnej. Opo- wiadając się za rozwiązaniami urbanistycznymi prostszymi i tańszymi — tenże autor jak najszybciej przestrzega przed tandetą i prowizorkami.

Podobny pogląd wyraził Rajmund Liberski, dowodząc, iż „jesteśmy za biedni, by budować tanio”. Jest to stwierdzenie, z którym trzeba się zgodzić, jeśli autor przez budowanie tanie rozumie coś kiepskiego, zastępczego, mniej wartościowego. Ale przecież można i trzeba różnicować nasze potrzeby; są przedsięwzięcia, których realizacja ma znaczenie dla miasta zasadnicze i są inne, o znaczeniu pobocznym, drugorzędym. Na te pierwsze z całą pewnością szczerze grosza się nie powinno (co nie jest jednak równoznaczne z rozrzutnością), na drugie natomiast należałoby przeznaczać środki ograniczone; przy solidnie przemyślanym działaniu, także je dałoby się ekonomicznie spożytkować.

Na przykład przebudowa Mostu Dworcowego jest na pewno dla Poznania sprawą o zasadniczym znaczeniu. Dlatego pożądane byłoby chyba, przy okazji jego rekonstruk-

dowania ciągu ul. 23 Lutego — most na Warcie). Szereg budynków, szczególnie PDT, jest usytuowany według systemu „jak przedtem”, co już dziś bardzo utrudnia, ale jeszcze nie całkowicie uniemożliwia, rozszerzenie ul. 27 Grudnia do linii Teatru Polskiego.

(...) Realizm poznański winien mówić: budować jak najszerzej, jak tylko można, z uwzględnieniem potrzeb komunikacyjnych drugiej połowy XX i XXI wieku. (...) Wydaje

Piotr Życki

Realizm wyobraźnia fakty

cji, wyprostowanie wiaduktu, dla zlikwidowania nonsensownego zakrętu — za cenę nawet dodatkowych nakładów. Natomiast budowanie już w roku 1962 dwujezdniowej Staroleckiej (gdzie jedna nowa jezdnia jest dwakroć szersza od dotychczasowej), uważać należy za nie najpilniejsze, do czego nawiązał w swej wypowiedzi Włodzisław Welnicz, wskazując na należy- ny chyba priorytet ulicy Warszawskiej.

R. Liberski, zgadzając się zresztą, iż należałoby budować kolejno mosty chwaliszewskie, porządkować różnie centrum i rozwiązywać jakoś problem bieda-domków — upatruje jednakże sedno sprawy nie w tym, iż owych problemów się nie dostrzega, lecz w braku decyzji. Rozwijając swą myśl, nasz Czytelnik twierdzi, iż brak decyzji przekreślił możliwość realizowania w Poznaniu szeregu inwestycji etapami, na raty, jak to się czyni w Gdańsku i Łodzi.

Można byłoby się z panem Liberskim zgodzić; jednakże — naszym zdaniem — brak decyzji jest czymś pochodnym, zasadniczą zaś sprawą pozostaje chłodne, obiektywne, nacechowane maksymalnym realizmem konfrontowanie potrzeb z możliwościami, czyli wnikliwa analiza aktualnego stanu rzeczy.

A teraz kilka wyjaśnień, należnych Czytelnikom polemicznego artykułu Józefa Modrzejewskiego. Na wstępie JM wyznał, iż „nie bardzo rozumiem, co ma wspólnego przeciętny poznaniak z projektowaniem tras komunikacyjnych, zabudowy fragmentów miasta i lokalizacją nowych obiektów”. Oto i znamien- na — nie tylko dla jej autora — wypowiedź. Sek w tym właśnie, że: 1° — przeciętny poznaniak stanowi- czo za skąpo jest informowany o wymienionych przez JM sprawa- ch; 2° — ma, niestety, wciąż za mały na nie wpływ, co zarazem nie przeszkadza, iż 3° — interesuje się nimi nader żywo, o czym świad-

czą choćby publikowane przez nas listy.

J. Modrzejewski stwierdził, że w moich rozważaniach brak było realizmu, brakło wyobraźni, a w tzw. podtekście daje ponadto do zrozumienia, że się na sprawach budownictwa i urbanistyki nie znam, lepiej więc byłoby, gdybym nabrał wody w usta i milczał.

Niewątpliwie, zasada to dla niektórych cenna. Ale czy słuszna? I czy jest do pomyślenia w naszych warunkach podtrzymywanie tezy, że o zabudowie miasta wolno się wypowiadać tylko fachowcom? Jest to twierdzenie niesłuszne i niewiele mające z demokratyzmem wspólnego. W sprawach rozwiązań urbanistycznych i zabudowy miasta — trzeba i należy zasięgać opinii możliwie szerokich warstw społeczeństwa; na ogół nie wychodzi to na złe projektantom i czynnikom realizującym zamierzenia. Zdanie fachowców jest na pewno szczególnie cenne i — niemal zawsze — rozstrzygające, ale... Niechby np. J. Modrzejewski usiłował wytłumaczyć tysiącom telewidzów, iż nie powinni toczyć dyskusji na temat programu TV, bo... się na tym nie znają!

Z kolei — dwa sprostowania: ludność Poznania, napisał JM, w stosunku do okresu przedwojennego „prawie się podwoiła”. Jest to dezinformacja; Poznań liczy bowiem 422.000 mieszkańców, a nie 544.000. J. Modrzejewski stwierdził także, iż w roku 1939 było w Poznaniu 500 pojazdów mechanicznych. W istocie tuż przed wybuchem wojny w Poznaniu było pojazdów mechanicznych o wiele więcej.*

Dalej JM oświadczył, że trasa chwaliszewska nie jest żadną gigantyczną inwestycją, gdyż... mieć będzie tylko 20 metrów szerokości. Ależ drogi Panie, nie o metry lecz o miliony chodziło, a to nie to samo! Pisałem wyraźnie, iż

Dokończenie na str. 4

Dokończenie ze str. 1

szcza grochu, bobiku, wyki, łubinu pastewnego oraz takich roślin jak lucerna, koniczyna i kukurydza.

Chodzi o 100 tys. ton zboża

Racjonalna gospodarka rolna niemożliwa jest bez rachunku ekonomicznego. Jest to szczególnie ważne przy doborze struktury zasiewów i jak najbardziej prawidłowym wykorzystaniu właściwości glebowych. Np. wiemy, że w województwie naszym uprawia się około 20 tys. ha owsa na glebach dobrych, nadających się pod uprawę bobiku. Owsa uzyskujemy z tego arealu około 40 tys. ton, natomiast zakładając zbiór bobiku tylko w wysokości 25 q/ha oraz przeliczając jego wartość paszową — moglibyśmy uzyskać zbiór odpowiadający wartości paszowej około 135 tys. ton owsa. A więc można mówić o rezerwie rosnącej się prawie 100 tys. ton pasz tręściwych.

Stwierdźmy dalej, że zakładane na rok 1965 osiągnięcie 21 q/ha średnio 4-eh zbóż, winno być przekroczone tak, by osiągnąć co najmniej 22,5 q/ha. A to oznacza znowu możliwość uzyskania w 1965 r. dodatkowej produkcji zboża w wysokości około 100 tys. ton.

Na odbytej niedawno naradzie, poświęconej produkcji ziemniaków — wszyscy uczestnicy podkreślali realną możliwość podniesienia w ciągu następnych 3 lat zbiorów o ok. 20 q z hektara. Dla gospodarki województwa oznacza to wzrost produkcji o 1/2 miliona ton.

Sprawą niemniej ważną dla gospodarki rolnej województwa, jest konkretne, uporczywe zmierzanie do polepszania gospodarki na łąkach i pastwiskach, stała dbałość o urządzenia melioracyjne, lepsza organizacja gospodarki na terenach już zmeliorowanych, przede wszystkim poprzez spółki wodno-melioracyjne, zespoły łąkarskie, kółka rolnicze i maksymalne zaktywizowanie użytkowników łąk i pastwisk w tym właśnie celu.

Tekie — ogólnie rzecz biorąc — winny być podstawowe kierunki działania, jeżeli chcemy poprawić wojewódzki bilans zbożowo-paszowy, osiągnąć samowystarczalność, zapewnić wykonanie planowanego wzrostu pogłowia bydła i trzody chlewnej w b. pięcioletniej i w latach następnych oraz, co najważniejsze, pamiętać o trudności naszego państwa w uciążliwym dla gospodarki narodowej imporcie zbóż i pasz.

71 procent wsi ma kółka rolnicze

Ogromna rola w dziedzinie systematycznego wzrostu produkcji rolniczej przypada kółkom rolniczym i wszystkim formom spół-

dzielczości wiejskiej — zrzeszającej w naszym województwie ponad pół miliona członków. Kółka rolnicze, obejmujące swą siecią organizacyjną 71 proc. wsi województwa, winny coraz skuteczniej oddziaływać na sprawy produkcyjne i społeczne swojej wsi i gromady. W oparciu o gromadkie plany rozwoju rolnictwa, kółka rolnicze przy pomocy agronomów — winny troszczyć się o pełne wykonanie planu wymiany ziarna siewnego, sadzenia siewek, o terminowe dostarczanie rolnikom materiału siewnego, nawozów, środków ochrony roślin, pilnować terminów agrotechnicznych itd., itp.

Planujemy, że w okresie 2—3 lat przechodząc będziemy w rolnictwie poznańskim na 2-letnią wymianę kwalifikowanego ziarna siewnego. Możliwość takie mamy. Wymagać to będzie jednak dużego wysiłku, przede wszystkim organizacyjnego, by w pełni te zamierzenia urzeczywistnić. Będzie to zależeć w dużym stopniu od operatywności pracy agronomów gromadzkich, kółek rolniczych i wszystkich tych instytucji i organizacji, które zajmują się produkcją materiału siewnego, jego oceną i rozprowadzaniem.

Wiadomo np. ile strat ponosi nasze rolnictwo z tytułu niedostatecznego zwalczania chwastów, chorób i szkodników roślin. Na ochronę roślin państwo przeznaczca co roku ogromne środki. Ale środki te nie są wykorzystywane w pełni. Na tym odcinku kółka rolnicze, agronomowie, GRN — mają wiele do zrobie-

nia, że rozszerzenie ulic musi spowodować zwiększenie wysokości zabudowy, mimo że niekoniecznie trzeba dążyć do nadmiernego wzrostu liczby mieszkańców miasta.

Inna kwestia, to kwestia realizacji. Mając dobrze opracowany plan arterii komunikacyjnych i przelotowych, można plan realizować stopniowo. Np. nic nie stoi na przeszkodzie, by tak, jak proponuje jeden z dyskutantów, budować najpierw jedną

jezdnia a potem drugą, o ile to jest istotnie tańsze. Również wyburzenie przeprowadza można stopniowo, w miarę posiadania nowych izb. Ale wiąże się z tym inna sprawa: sprawa środków (...).

Poznań winien być zabudowany estetycznie i wygodnie. Na skutek popełnionych dotąd omyłek będzie to utrudnione, ale co można — to zrobimy.

ANDRZEJ MEISSNER
Poznań

Organizacja

nia. Zagadnienie sprowadza się do tego, by walką z chwastami i szkodnikami roślin zainteresowana była cała wieś, a nie tylko poszczególne gospodarstwa. Zadanie polega na tym, by ochrona roślin prowadzona była w sposób kompleksowy w każdej wsi i gromadzie, by tej walce towarzyszył wysiłek organizacyjny i odpowiedni instruktaż i odpowiednia kontrola ze strony kółek rolniczych i służby rolnej.

Warto także, by kółka rolnicze zwróciły więcej uwagi na te gospodarstwa, które uzyskują mniejsze plony od osiągniętych średnio w wsi i gromadzie. Należałoby wreszcie ustalić przyczyny tych zjawisk i wypracować odpowiednie formy pracy z „odstającymi” gospodarstwami, okazać im pomoc, słowem, poradzić, w jaki sposób mają wybrnąć z nie- dobrej dla nich, jak dla całej wsi, sytuacji.

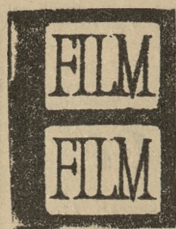
Nie sposób wyczerpać w jednym artykule wszystkich spraw, którymi zajmować winny się kółka rolnicze i praktycznie pokazać, jak to zrobić. W okresie zimowym mamy wystarczająco dużo czasu na przemyślenie, przedyskutowanie i wypracowanie niezbędnych środków, zmie-

rzających do podniesienia produkcji w „odstających” gospodarstwach.

Przyzwyczajmy się poniekąd do rozwiązywania spraw tzw. gospodarstw podupadłych tylko przy pomocy środków administracyjnych, które — jak wykazuje praktyka — nie zawsze należą do działających. Nie wykluczamy środków administracyjnych, jeżeli są niezbędne i konieczne. Ale problem gospodarstw podupadłych trzeba rozwiązywać drogą społecznego działania, poprzez oddziaływanie przodujących rolników, poprzez wykorzystanie środków państwowych, służących podniesieniu produkcji rolnej — w zależności od sytuacji każdego takiego gospodarstwa. Jednym trzeba okazać pomoc i dobrą sąsiedzką radę, w stosunku do innych trzeba będzie użyć środków administracyjnych.

Potrzeba większej operatywności

Jednym z ważnych zagadnień, dotyczących działalności kółek rolniczych — jest mechanizacja. Na mechanizację kółka rolnicze otrzymały ogromne środki w postaci Funduszu Rozwoju Rolnictwa. Nie-



Janusz Biniek

Z rzadka na co dzień...

Aż trzy nowe filmy polskie pokazano w ostatnich dniach. Niestety — zarówno „Dziewczynę z dobrego domu” jak i „Klub kawalerów” trudno zaliczyć do sukcesów. Najlepsze okazało się „Spotkanie w bajce”, które jest przede wszystkim dobrze zagrane (Śląska, Łapicki, Holoubek). Sek w tym, że film rozpada się niejako na dwie połowy. Część pierwszą wypełniają zgrabnie i z satyrycznym zacięciem podpatrzone realia obyczajowe małego miasteczka. Ale ten „mały realizm” nie przylega stylistycznie do fragmentów, rozegranych w „Bajce” już na płaszczyźnie psychologicznej, gdzie akcja i kamera podporządkowane zostały dialogowi, a tło — owa kawiarnia i ludzi w niej — zredukowano raczej do roli symboli, bardziej wymyślonych, literackich, niż zaobserwowanych na żywo. Mimo to film Rykowskiego, choć nie rewelacyjny, stanowi interesującą formułę wyrażania spraw współczesnych.

Czekając — długo zresztą — na rewelację naszej produkcji, odnotujmy tymczasem dwa filmy z importu, zwłaszcza, że są to komedie, rzecz (patrz tytuł) zdarzająca się rzadko. Grecko-francuski film „Nigdy w niedzielę” znany był u nas, zanim zjawiał się na ekranie, lecz wyłącznie z piosenki „Dzieci Pireusu”, którą mają już w repertuarze nawet konserwatywni kawiarniani klezmerzy. Nb. druga piosenka, podobnie melodyjna, tylko nie tak szlagierowo wyeksponowana również może się podobać. Sam film natomiast — mniej, szczególnie srogim moralizmem. Swoją drogą — ciekawe, że potrafimy tak szczerze zaśmiewać się z gruboświńskich dowcipasów, a jednocześnie — i to najczęściej wielbicieli owych kawałów — straszliwie drażni na ekranie dialog o wiele skromniejszy... Pomysł filmu, niektóre sceny, są nieco ryzykowne; jego bohaterka, więcej — bohaterka pozytywna (co za przewrotność tych „komediowców”!) jest „córka Koryntu”. Utało się w poznańskiej prasie to eleganckie określenie, podobnie jak „czciciel Bachusa”; jak widać, oprócz Pauksztzy czytuje się także mitologię grecką. Zresztą — określenie to pasuje tu jak ulał, jako że akcja filmu rozgrywa się właśnie w Grecji. Ale film bynajmniej nie

eksponuje wizualnie owych „korynckich” uroków. Chciałbym więc moralistów nieco uspokoić, a „amatorów” rozczerować: „Nigdy w niedzielę” wysuwa na plan pierwszy — komizm sytuacyjny. Gagów, tak typowych dla pewnego gatunku komedii, niewiele tu znajdziemy. Jest natomiast wiele humoru, żywiołowego i, to prawda, swawolnego, ale — powiedziałbym — życzliwego, przypominającego i Rabelais'a i „Colas Breugnon” po troszę. Naprawdę komiczny jest ten amerykański turyista, przyzwyczajony (choć nie tak bardzo, jak się pod koniec przekornie okaże) starszy pan, kiedy ze zwyczajnej, a zarazem niezwykle dziewczyny portowej usiłuje zrobić co najmniej intelektualistkę, szukając śladów Homera tam, gdzie przetrwał raczej kult Dionizosa i Wenus... Reżyser przeciwstawia tu, dla zabawy, bez wszelkich pretensji do uogólnień, jednostkę ustabilizowaną, cywilizowaną, pewną siebie i pełną mądrości XX wieku — naiwnej, dziecięcej niemal, beztroskiej radości życia.

Dziewczyną jest Melina Mercouri, grająca znakomicie, z dużym wdziękiem i pełnym życia, nieklamany temperamentem. Wolę stanowczo tego rodzaju rolę niż wszystkie te, tak często spotykane na ekranie, w których dziewczęta lekkich obyczajów z uporem tragizują co najmniej na miarę Hamleta.

Film zrealizował i główną rolę męską zagrał (co można mu wybaczyć) wybitny reżyser Jules Dassin („Rififi”). Rzecz, oczywiście dla widzów dorosłych, nie traktujących wszystkiego arcy poważnie.

Natomiast „Zabawna buzia” jest typowym musicaliem, to znaczy reprezentuje ten gatunek, którym miał być, lecz nie był „Klub kawalerów”. Nakręcił ją sprawnie i według wszelkich reguł tradycji Stanley Donen, ten sam, który robił „Deszczową piosenkę”. Akcja, jak zwykle w komediach muzycznych, nie ważna; ważny taniec (Fred Astaire, aż dziw pomyśleć, że tańczył już przed wojną!), ważna muzyka i piosenki (bracia Gershwin). Nowością jest Audrey Hepburn, ujawniająca swe talenty taneczne. Film rozrywkowy, w gruncie rzeczy nic nowego pod słońcem, ale świetnie zrobiony.

Winni czy niewinni czarodzieje?

Dokończenie ze str. 1

czął w ordynarny sposób, którzy zachowują się kulturalnie. Przyjmijmy za pewnik, że tych przykładów in plus można by przytoczyć o wiele więcej niż cytowanych w liście. Zgódźmy się nawet, że tego rodzaju wysoki są „przywilejem” owych siedemnastu lat (tak jak „przywilejem” lat 14 jest strzelanie z procy i bitwy a la Zorro), i że porzekadło: „czym skorupka za młodu nasiąknie...” sprawdza się, na szczęście, w nikłym tylko procencie, jako że wpływ środowiska, przyszła praca, obowiązki — w większości wypadków niwelują owe „przywileje” młodego wieku.

Tak, to wszystko prawda, bić w wielkie dzwony nie ma celu, ale zastanowić się warto.

Autor listu uważa, że niedobry wpływ na młodych mają pewne filmy i książki (np. „Podręcznik małżeństwa”), dostępne młodzieży, które, jak pisze, „zbyt pobudliwie wpływają na psychikę i wyobraźnię młodego człowieka”. Ten punkt widzenia ma swoje racje, ale... Po pierwsze — nie czarujmy się: wójt chętna młodzież tym między innymi różni się od poprzednich pokoleń, że — z wielu przyczyn — dojrzewa szybciej i lepiej orientuje się w tzw. sprawach intymnych, niż jej rodzice 40 lat temu. Po wtóre — droga zakazów nie jest, z pedagogicznego punktu widzenia, najlepszą drogą. Po trzecie — czy jednak nie przeceniamy wpływu literatury i filmu na życie? Dawniej przyczyną zła było tango i wspólne plaże, dziś — filmy. A przecież film, sztuka w ogóle, wyjąwszy twory zupełnie chybione, zawsze jest w jakiejś mierze odbiciem życia, obyczajów. Mamy zresztą wiele filmów bardzo moralnych, aż nudnych w swej dydaktyce. Nie przeczę, że ten i ów siedemnastolatek, po obejrzeniu w kinie „Podrywaczy” czy „Prawdy”, za mało wrażliwy by pojąć wymowę filmu, po prostu za głupi na to, przyjmie za dobrą monetę to, co ukazano w sensie pejoratywnym i zapragnie także wystąpić w roli donżuana „bez złudzeń”. Ale czy w wielu wypadkach nie będzie to tylko żalosna błazenada, małpie naśladowictwo, mające więcej wspólnego z walkami 14-latków w stylu Zorro niż z rzeczywistym stosunkiem do świata i ludzi? Nie wiem. Zastanawiam się.

Zastanawiam się i dochodzę do wniosku, że od pytania dlaczego — o wiele ważniejsze jest pytanie jak przeciwdziałać nieobyczajnym wyskokom młodzieży.

Jak? Pytanie — rzeka, pole do dyskusji olbrzymie. Wyobraźmy sobie taką dyskusję. Przedstawicie starszego pokolenia wystąpią zapewne pod hasłem: „Za naszych czasów było inaczej”, młodzi uśmiechną się: „Zawsze mają nam, młodym, za złe, że jesteśmy inni niż oni”. I na tym się skończy. Posypią się także apele pod adresem rodziców i szkoły. Gotów jestem zastawić starą, ale jarą jeszcze „Erikę”, że będzie to wyglądało mniej więcej tak:

Ogromne zadania, stojące przed rolnictwem, wymagają od organizacji partyjnych większej operatywności działania. Nie można już dziś zajmować się rolnictwem wycinkowo — bez znajomości gruntownej problemów, dotyczących rolnictwa. Sytuacja wymaga tego, by rolnictwem zajmować się z całą znajomością rzeczy, by traktować i rozwiązywać sprawy produkcji rolnej i zmian w sposobach produkcji — w sposób wszechstronny.

Operatywnie działać, to znaczy tak organizować pracę partyjną, by w pełni zabezpieczyć wykonawstwo wszystkich zadań, jakie przed rolnictwem stoją. Zagadnienie sprowadza się do tego, aby organizacje partyjne tak rozstawiły swoje siły, tak pokierowały swymi członkami, na wszystkich odcinkach frontu, aby całkowicie i z honorem wykonać zadania, jakie partia postawiła przed rolnictwem tak w dziedzinie produkcji, jak również w dziedzinie przebudowy struktury agrarnej naszego rolnictwa.

Oto sprawy, które będą przedmiotem obrad najbliższego posiedzenia KW PZPR w Poznaniu.

STANISŁAW FURGAŁ
sekretarz KW PZPR w Poznaniu

NAUCZYCIELE: „Zachowanie się części naszej młodzieży jest złe dlatego, że rodzice za mało interesują się tym, co ich dzieci porabiają poza domem. W szkole robimy co możemy, ale programu i uczniów jest tyle, że wszystkiemu poddać nie można”. A RODZICE? „Zachowanie się... itd., itd... w domu robimy co możemy, ale skoro ojciec i matka pracuje zawodowo, wszystkiemu poddać nie można”. I znów obie strony będą miały rację. Oczywiście, jest w tym trochę tzw. spychotechniki, trzeba jednak uznać fakty. A fakty są takie, że młodzież wychowuje po trosze dom, po trosze szkoła. Ale jednak po trosze. Ma to, oczywiście, wpływ na obyczajowość współczesnych siedemnastolatków.

Znalazłby się więc w takiej dyskusji niejeden prokurator i niejeden obrońca, a gdyby nawet zgodzono się na sędzię, to wątpliwe, czy potrafiłby wyegzekwować te wnioski w naszym społeczeństwie, gdzie — powiedzmy szczerze jeden ogląda się na drugiego, hołdując jakże często kelnerskiemu zawołaniu „Kolega!”.

W gruncie rzeczy problem można sprowadzić do kultury bycia, która nie powinna ograniczać się tylko do przekrojowego, bardzo skąd inąd pozytywnego „przepraszamy, dziękujemy”. Kultury bycia, której, niestety, nie daje się wtłoczyć do głowy, jak równania algebraicznego. A więc raczej dobry przykład? Wyle-

ciało mi to słówko zanim pomyślałem o tych naszych dorosłych świńskich dowcipach i nie tylko o nich. Niech mi autor listu wybaczy, ale spytajmy, z ręką na sercu, czy my, tzw. ludzie dorośli, jesteśmy na prawdę takie lilie niewinne, jak to czasem młodym dajemy do wierzenia?

Oczywiście — mamy więcej doświadczenia i na ogół wiemy, że ograniczenie stosunków między kobietą i mężczyzną wyłącznie do pewnych spraw — jest namiastką miłości. Oni, ci młodzi, miłości jeszcze nie przeżyli. Ale obserwują nas, chociaż nie tylko do kina. I wiedzą, że — jak pisze Czytelnik — „świadome i brutalne demonstrowanie swych seksualnych zainteresowań” jest nie tylko ich „przywilejem”. Czy zawsze hamulcem jest moralność, o którą tak chętnie walczymy? Czy raczej nie jest nią często co innego: pozycja zawodowa i społeczna, oraz „co powiedzą znajomi, co powie żona”? Czy niejeden z tych siedemnastolatków, zaczepiających kobiety koło Okrągłaka, nie będzie miał argumentu, mówiąc: „lepsi jesteście, kiedy sobie wypijecie, lub gdy nikt was nie widzi?”

„Odpowiadamy za przyszłość naszych 17-latków — kończy swój list nasz Czytelnik. — Warto więc się zastanowić”.

Naprawdę warto. Oto jedyny wniosek.

KRZYSZTOF MONIKOWSKI

Bogusław Koguł

Małżeńscy malkontenci

Wszyscy, albo prawie wszyscy dyskutują o kodeksie rodzinnym, ściślej: o projekcie nowego kodeksu. Nie brak w tej dyskusji głosów, także ze strony naukowców — prawników, kwestionujących samą potrzebę uchwalania nowego kodeksu. Ze za wcześnie, że życie (rodzinne) wraz z jego komplikacjami może pomieścić się w starym kodeksie, a jeśli istotnie obserwujemy zjawiska świadczące o jakimś kryzysie rodziny, to przyczyny tego kryzysu są zbyt głębokie i złożone, by można było je zniwelować przy pomocy suchej lityry prawa.

Być może, że ci sceptycy mają rację. Ale jeśli nawet nowy kodeks nie miałby być uchwalony, to przecież już sam projekt przyniósł nie lada korzyści; wniósł w nasze życie ferment umysłowy, rozbudził dyskusyjne zapędy. A nie tak nie poprawia samopoczucia społeczności jak publiczne wygadanie się do syta.

Osobiście jestem jak najbardziej za nowym kodeksem, i nie podzielam zgoda tych pretensji, jakie wysuwają różni malkontenci. Twierdzą na przykład niektórzy, że nowy kodeks czyni z małżeństwa profesję dla kobiety. Bo w razie rozvodu małżonek musi zagwarantować drugiej po łowie stopę życiową na poziomie sprzed rozvodu, jeśli nawet ta stopa była wyłącznie jego заслуżą. Wystarczy więc złapać na małżeńską wędkę pracowitego faceta z tzw. atrakcyjnym zawodem, albo, jeszcze lepiej, kogoś z inicjatywy prywatnej — i sowna renta na całe życie zapewniona, bez obowiązku troszczenia się o jutro i pojutrze. Mówią więc malkontenci, że to niemoralne, niesprawiedliwe etc.

Jestem zgoda przeciwnego zdania. Istnieje tyle profesji w praktyce niedostępnych kobietom; dlaczego więc przy pomocy kodeksu nie stworzyć dla tych istot, słabych przeciw z natury, wygodnej profesji? Nie bądem małostkowi! A żonkoś, który wskutek pomyłki małżeńskiej miałby przez całe życie dzielić się swoją pracą z istotą słabą i bezbronną, choćby nawet nieco leniwą — ma przecież zawsze wyjście. Na pewien czas przed zamierzonym rozводом, czyli w

okresie tzw. rozkładu czy też rozpadu pożycia, należy przepić cały dorobek i w ten sposób stopę przedrozwodową doprowadzić do zera. Jeśli zaś ktoś ze względu na wstręt, czy też na zasady, nie może lub nie chce przepijać przedrozwodowej stopy, to może ją przegrać w Totolotka.

Jak widzicie, z każdej, nawet najbardziej przebiegłej pułapki, jest jakieś wyjście.

Albo z tym wiekiem kwalifikującym do żeniactwa. Malkontenci kwestionują pomysł podniesienia granicy tego wieku dla mężczyzn. Dziewczę 18-letnie może sobie za mąż wychodzić, choć nie ma zawodu ani pojęcia o życiu, tylko mąż musi mieć zawód, być dojrzały itd. — To jest oburzające! — wołają malkontenci i zaraz dodają: Jak to, z ukończeniem 18 roku życia nabynam prawa konstytucyjne, które umożliwiały mi decydowanie o losach państwa, a o sobie decydować nie mogę? To jest nonsens — powiadają.

A ja znowu jestem innego zdania. Ja bym z tym reformowaniem granic wieku poszedł jeszcze dalej. „Konstytucyjny” wiek dojrzałości obniżyłbym do lat 16, małżeński dla mężczyzn podniósłbym do 30, albo chociaż do 25. — Jaki stąd pożytek? — spytacie. Otóż wyobraźcie sobie radę narodową, w której dominować będą 16-latkowie. Taka rada to przecież ideał. Zajęta big-beatem, atomową Kaśką i autostopem, nie wtrącałyby się w pracę tzw. aparatu, nie przeszkadzała w robocie, jak to czynią zazwyczaj rady składające się z ludzi nazbyt dorosłych. Zaś co do wieku małżeńskiego, to przecie trudno sobie wyobrazić nowoczesnego mężczyznę w wieku lat 30, albo choćby 25, który nie orientowałby się w sytuacji prawnej, nie znał co najmniej trzech kodeksów, karnego, drogowego i rodzinnego (tego nowego). No, a znając kodeks rodzinny (ten nowy) nie będzie na tyle nierozumny, by wstępować w związki małżeńskie i skazywać się dobrowolnie na utratę praw obywatelskich.

Brak miejsca nie pozwala mi na rozpatrywanie innych zagadnień kodeksowo-rodzinnych. Ale już z tego co powyżej napisano, widać wyraźnie, że projekt nowego kodeksu jest absolutnie prekursorski.

• • • • •
nad

decyduje

mał połowa kółek rolniczych w naszym województwie — choć je na to stać — nie kupuje zestawów traktorowych, a stopień wykorzystania FRR jest stosunkowo niski. Obecnie istnieją dogodne warunki zakupu traktorów i maszyn towarzyszących przez kółka rolnicze i należy to wykorzystywać.

Jaki jest obecnie podstawowy cel mechanizacji? Chodzi przede wszystkim o to, aby wszędzie tam, gdzie to jest możliwe, zastąpić konia — maszyną. Konie zjadają w województwie około 240 tys. ton zboża rocznie. Zmniejszenie liczby koni w gospodarce chłopskiej z 15,8 do 7—8 na 100 ha, oznaczałoby zaoszczędzenie około 120 tys. ton zboża rocznie.

Chodzi również o to — i to jest najważniejsze — by poprzez mechanizację ulżyć ciężkiej pracy rolnika, unowocześnić procesy produkcyjne w rolnictwie, osiągać wyższe wskaźniki produkcyjne niż dotychczas. Korzyści ze stosowania mechanizacji są olbrzymie. Z rozwojem mechanizacji wiąże się sprawa rozbudowy zaplecza remontowo-technicznego, budowa szop i garaży, rozwoju różnego rodzaju usług, służących pro-

dukcji rolnej. Jest to niezmiernie doniosłe zadanie dnia dzisiejszego.

Jest to zadanie nie tylko dla kółek rolniczych. One same nie są w stanie tego zrobić. Duże pole do działania mają tu POM-y, spółdzielczość wiejska, a przede wszystkim rady narodowe, które winny nie tylko planować, ale koordynować całość zamierzeń w tym zakresie. Usługi różnego rodzaju dla wsi, a szczególnie usługi o charakterze produkcyjnym, odgrywać będą coraz większą rolę w rozwoju rolnictwa i służyć będą narastającym socjalistycznym przemianom na wsi.

Wielką wagę przywiązujemy do wszechstronnego podniesienia gospodarności państwowych i spółdzielczych gospodarstw rolnych, które w coraz większym stopniu stają się wzorowymi ośrodkami kultury rolnej i które już obecnie stają się żywym przykładem, przemawiającym za wyższością wielkotowarowych gospodarstw socjalistycznych w naszym rolnictwie. A to ma poważne znaczenie dla przebudowy struktury rolnictwa.

Marian Rawik

FRUSTRACJA MODNA RZECZ

Słaba anegdota o dwóch pracownikach, egzaminowanych przez dyrektora, mówi, że jeden z nich — Paweł, wysłany w celu zamówienia wagonu dla przewoźnika drobnicy, powracał sześciokrotnie do cierpliwego zwierzchnika, by uzyskać coraz bardziej drobniagowe wskazówki i wyjaśnienia. Razem zajęło mu to dwa dni czasu i zakończyło się fiaskiem. Drugi natomiast — Gaweł, po otrzymaniu polecenia, zorientował się błyskawicznie o jaki towar chodzi, kiedy i skąd ma być wysłany i po 3 godzinach zjawił się, meldując szefowi o wykonaniu zlecenia.

Oczywiście, dwaj ci towarzysze pracy mogą ułożyć sobie dalsze współżycie przykładowo; jeden z doświadczeń drugiego, łańcuch w ten sposób braku własnej „smykałki”. Byłoby to pożyteczne i budujące. Albo... Ten, który nic nie zdziałał, a stracił dużo czasu, chce „nadrobić” nieudolność poderwaniem pozycji kolegi, który osiągnął dobre wyniki w pracy. W tym celu puszczają np. w obiegu spreparowaną przez siebie wersję o rzekomo nieuzasadnionym uprzywilejowaniu kolegi przez zwierzchnika, co zresztą znajduje „potwierdzenie” w postaci przynajmniej Gawełowi (bo zasłużył na to) nagrody.

To „chwyl” pierwszy: wywołanie niezgody w środowisku. Kolejnym „akordem” bywa posłanie nieufności u przełożonego do operatywnego pracownika. Tutaj stosuje się prosty zabieg, powtarzając np. sekretarce dyrektora przeznaczone zdanie, rzekomo wypowiedziane przez Gaweł, na temat niskich kwalifikacji szefa. A że dyrektor właśnie uzupełnia wykształcenie, „życzliwa” informacja trafia na podatny grunt.

Można wreszcie wykorzystać przypadkowe zdarzenia. Np. Gaweł, obarczony kilku funkcjami społecznymi, narażając się, odmawiając przyjęcia wakującego mandatu społecznego inspektora pracy. Na dobitkę, w owym czasie odby-

wła się zakładowa uroczystość i Gaweł po kilku toastach podsumował sobie nieco. Parę swobodniejszych kawałów, opowiedzianych w mieszanym gronie, dopomogło do utworzenia pewnego miłu.

Rejestr negatywnej jednostki (czytaj — Gaweł), jest gołowy. W tym zestawieniu Paweł, moralne zero, stał się dla wielu nieomal wcieleniem cnót pracownika i obywatela. Był ogromnie wygodny z racji swej przeciętności. Był też wdzięcznym partnerem do prowadzenia rozrób, do czego Gaweł się nie nadawał, jako człowiek prostolinijny.

Mój stary przyjaciel zwykł mawiać: „Pamiętaj, by nie przekroczyć współczynnika zazdrości ludzkiej. A zazdrość można wszystkich: apetytu i pamięci, zdrowia, dzieci i aparycji, mieszkania, czy nawet pogody na urlopie. Skutki zazdrości bywają straszliwe, tym gorzej, że nieraz zmuszają one do samoobrony ofiarę ataków.

Ileż to czasu trzeba zużyć wówczas na nie tworzące żadnych wartości zmagania! Jak trudno zdemaskować oszczerców!

Zjawisko jest złożone. Socjologowie nazywają uczenie ten stan frustracją, przez co należy rozumieć szereg stanów psychicznych, popychających niezadowolonego z siebie osobnika do przykrych (i na pewno społecznie szkodliwych) działań w stosunku do bliźnich.

Wielkość frustracji zależy od takich czynników jak: siła reakcji, spowodowanej nieudaniem dążeniem do celu, stopień zacięcia psychicznego, wywołanego tym nieudaniem dążeniem i ilość tych reakcji. Agresja osobnika sfrustrowanego skierowana jest przede wszystkim przeciwko

osobie (lub instytucji) uważanej subiektywnie za źródło frustracji.

Coraz więcej jest przejawów, świadczących o tym, że przypominane tu praktyki są smutnym reliktem okresu niesłusowania się do norm socjalistycznego współżycia między ludźmi. Coraz silniej i zdrowiej reaguje opinia środowiska na anormalne przejawy czyichś poczyną, utrudniających ludziom spokojną pracę

Niedawno temu przemila Irena Dziedzic prezentowała w TV bohaterów dnia codziennego, pretendujących do tytułu „Polaka 1962 roku”. Krzepiące to były sylwetki, żywe, barwne i nieschematyczne. Na niej jednej z dziesięciu twarzy było widać zmarszczki, na niej jednej skroni szron siwizny. Ileż z tych oznak trudu było następstwem parowania ciosów ze strony sfrustrowanych zazdroźników? — pomyślałem. Ba, ileż zdrowia, spokoju i uśmiechu można by wygrać, gdyby...

Dlaczego rozrabiamy

Realizm wyobraźnia fakty

Dokończenie ze str. 2

ochronie budowy trzech mostów mianem „tras” i zbilansowanie kosztów całości — było posunięciem nietaktycznym, powodującym trudności przy staraniach o kredyty; natomiast stopniowa budowa poszczególnych mostów (naturalnie, według planu) dałaby już dawno wyniki.

Ulica Grunwaldzka jednak dokądś prowadzi — pisał JM. — Wypada mi zatem powtórzyć, że do nikąd; Grunwaldzka poważną arterią komunikacyjną nie jest (jak np. ul. Dąbrowskiego, daremnie czekająca na przebudowę i przedłużenie linii tramwajowej).

Być może J. Modrzejewski odczuwa satysfakcję na myśl, że „już” po osiemnastu latach narodziła się koncepcja obudowy ul. Czerwonej Armii. Ale chyba wielu, wielu poznaniaków — wita ową rewelacyjną wiadomość z uczuciem, które ma posmak gorzkawy. Wiemy bowiem, że nie takie urbanistyczne dylematy rozstrzygnięto w Polsce w cza-

sie wielokrotnie krótszym. Dlatego zastanawiamy się nad smutnym faktem, jakim są ciągle jeszcze niezaleczone wyrwy wojenne w centrum Poznania. Dlatego martwi nas zagadnienie, które pewni dyskutanci pominęli milczeniem — że w mieście wcale nie maleje liczba bieda - domków, że problem ten nie jest stopniowo rozwiązywany, wzorem Sosnowca, Torunia.

Dlatego zamykając nasze uwagi, przychylamy się do końcowego fragmentu wypowiedzi J. Modrzejewskiego: aby o sprawach Poznania dyskutować z poczuciem prawdziwego realizmu. Bo o nic innego nie chodzi, tylko o to, by miasto, z którym jesteśmy związani, miasto stare, historyczne, miasto zniszczone wojną, miasto wielkiego przemysłu i poważnych międzynarodowych spotkań — budowane było, i przebudowywane, najlepiej pod względem funkcjonalnym, najtrafniej w sensie hierarchii poszczególnych przedsięwzięć, najekonomiczniej czyli w miarę tanio, estetycznie i z myślą o wieku XXI.

Staraliśmy się wykazać, że — w odczuciu przeciętnego poznaniaka — nie wszystko następuje w myśl tych reguł; że obok bezspornych osiągnięć — nie brak przykładów zaprzepaszczonego zamierzeń, bądź zamierzeń nie najlepiej rea-

lizowanych. Wymiana poglądów na te tematy jest chyba potrzebna i pożyteczna. Sprowokowaliśmy ową wymianę poglądów i sądzimy, że nieraz jeszcze wypadnie nam do tych spraw wracać, jako że z listów choćby naszych Czytelników wynikało, jak bardzo bliskie są poznanikom problemy rodzinnego miasta. I z tym należałoby się bardziej liczyć.

Wreszcie sprawa ostatnia: dlaczego o tym wszystkim piszemy teraz dopiero; przecież co się stało, to się nie odstanie? Istotnie. Ale zawsze można wyciągnąć wnioski na przyszłość. A poza tym w naszym felietonie, który stał się mimowolnym zaczynem dość żywiołowej wymiany poglądów na niektóre sprawy Poznania — nie tyle chodziło o sprawę X czy Y, ile o pewne ogólne tendencje polityki miejskiej. Przynajmniej tak pragnęliśmy być zrozumieli.

PIOTR ŻYCKI

*) „Rocznik Statystyczny 1939” podaje (str. 200) liczbę pojazdów mechanicznych dla woj. poznańskiego, łącznie z Poznaniem, zbliżoną do 6.700. Wydziały: Statystyki i Komunikacji Prezydium Rady Narodowej — nie dysponują danymi, dotyczącymi liczby pojazdów mechanicznych w przedwojennym Poznaniu. Jednakże wiadomo, iż spośród owych 6.700 pojazdów, duża część rejestrowana była w Poznaniu, jako że na terenie powiatów liczba samochodów i motocykli była niewielka.



Nasz wybór problemów, polemik i cytatów zaczniemy, niemal tradycyjnie już, od łamów „Polityki”.

Chiny — Wenecja

Nader interesujące zestawienie stanowisk strony chińskiej i indyjskiej w sprawie sporu granicznego, przedstawia w najnowszej **Polityce Henryk Zdanowski**. Źródłowe to opracowanie poparte jest dwoma mapkami, informuje obiektywnie i dokładnie.

Polityka także, z godną podziwu konsekwencją, obnaża „kanty” naszej gastronomii. **Aleksander Rowiński** w artykule pt. „Wenecja” neglże osłuswa i atmosferę w zakładzie gastronomicznym „Wenecja” w Warszawie, nawiązując zarazem do słynnej afery baru „Prah”, do funkcjonowania gastronomii w ogóle. A. Rowiński stwierdza, iż jest przekonany, że we wspomnianym barze znowu kradną — nieco zmodyfikowanym systemem, w oparciu o uzyskane doświadczenia.

„Ja, klient barów i restauracji — kończy publicysta „Polityki” — nie chciałbym mieć stałego uczucia, że w sprawach gastronomii pozostaje tylko bicie głową o mur. Jeżeli już nie można zrobić więcej — niechaj będzie to chociaż głowa odpowiedzialna za gastronomię rodaka”.

Jednakże najciekawszym wydał nam się artykuł **Krzysztofa Wolickiego**, zatytułowany „Dziwczęta od Zmichowskiej. Wolicki z dużą kulturą

i poczuciem taktu pisze o specyficznej atmosferze warszawskiej żeńskiej szkoły średniej. Trudno dokonać wyboru jakiegokolwiek fragmentu, ten artykuł trzeba po prostu przeczytać. Powinny to zrobić przede wszystkim „ciała pedagogiczne” i — nie zawadziłoby — zainteresowana młodzież. Bo chyba znalazłoby się podobną „elitarną” szkołę w Poznaniu...

Dyskusja o humanistach

Pod zawołaniem: **Czy humanista potrzebny!** — **Kierunki** rozpoczęły dyskusję o losach młodych ludzi z ukończonym wykształceniem wyższym — nie technicznym i nie ekonomicznym. W najnowszym wydaniu tygodnika cztery strony poświęcone są wymianie poglądów i doświadczeń ludzi, zwanych potocznie humanistami, którzy pełnią funkcje pedagogów, urzędników itp. Materiały „Kierunków” nie pretendują do wszechstronnej analizy sprawy, na pewno jednak stanowią interesujący przyczynek do badań losu młodych humanistów.

W tym samym wydaniu tygodnika **Czytelnik** znajdzie obszerną rozmowę **Karola Pastuszewskiego** z **Antoniną Handzłową**, przewodniczącą Kółka Rolniczego we wsi Rybitwy, pow. Gnieźno. A. Handzłowa, znana działaczka, między innymi opowiada się za potrzebą zwiększenia samodzielności kółek rolniczych.

Stanisław Cif-Mackiewicz drukuje na łamach „Kierunków” anegdoty o Radziwiłłach — „Panie Kochanku”.

Przyboś o języku

Od dłuższego czasu na łamach **Przeglądu Kulturalnego** toczy się dyskusja o języku, o współczesnej polszczyźnie. Najświeższe wydanie PK przynosi wypowiedź znanego poety — **Juliana Przybosi**, który konkluduje następująco:

„Kijowski i Czerwiński mają rację. Potoczny język polski zmienia się w naszych czasach szybciej, niż w okresie międzywojennym. Młoda proza

i poezja spostrzegły tę przemianę i odtwarzają ją z właściwą pierwszemu odkrywcom przesadną gorliwością. Nie oni jednak zamieszkają nowe Sopoty polszczyzny. Może w następnym pokoleniu, w ostatniej ćwierci wieku, zrodzi się dzieło prozy artystycznej, a może poezji, co stanie się jak „Pan Tadeusz” lub „Noce i Dnie” sumą i koroną języka naszych czasów”.

W swym kąciku laika, **Jerzy Putrament** podjął temat niejednokrotnie poruszany na łamach prasy, acz z innego stanowiska; Putrament pisze o fatalnych rozkładach lekcji w szkołach podstawowych i średnich. Omawiając tę sprawę, wskazuje na fatalne skutki fizjologiczne (tak!) nieuregulowanego trybu szkolnych zajęć, planowanych raz z rana, raz w południe, raz po południu. Putrament z wrodzoną dla niego pasją odpowiada na koniec, iż przy tego rodzaju trybie życia, nieregularnym już w latach młodości, trudno będzie młodym pokoleniu żyć tradycyjnym stu lat życia...

W tymże wydaniu PK redakcja zakończyła druk pierwszej części powieści **Stanisława Dygata** „Disneyland”, zapowiadając rychłe wydanie książkowe, przygotowywane przez PIW. I jeszcze „**Myśl nieuczesana**” **Leca**:

„Są wielkie słowa tak puste, że można w nich więzić narody”.

Posnaniana

Na łamach **Nowej Kultury** **Kazimiera Litakowiczówna** publikuje opowiadanie **Dobudówki**, opatrzone dodatkowym tytułem **Z bajek dla Mirczy i Picki**.

W **Tygodniku Kulturalnym** **Zbigniew Pedziński** recenzuje książkę **Egon** **Naganowskiego** **Telemach w labiryncie świata** (**Czytelnik** 1962, str. 192, cena 16 zł). Wspomniana książka stanowi monografię twórczości **Jamesa Joyce’a**. Recenzent potraktował nową pracę E. Naganowskiego życzliwie, podkreślając jej walory. W tym samym wydaniu TK **Władysław J. Ciesielski** przedstawia trud-

Eugeniusz Pauksza

Worek obfitości

Wydane jeszcze z datą roku 1962, dopiero obecnie pojawiają się na półkach księgarskich dawno oczekiwane, częstokroć szczególnie cenne.

I tak niedługo zagrzeje miejsce na półkach wydana przez „Czytelnika” antologia „Poezji polskiej 1914—1939”, w wyborze i opracowaniu **Ryszarda Matuśzewskego** i **Seweryna Pollaka**, pierwszy równie bogaty wybór liryki tego okresu, dający przegląd dorobku poetyckiego okresu dwudziestolecia (utwory 181 poetów), przez co uwydatnia się raz jeszcze słuszność tezy, iż był to okres wielkiego rozkwitu i odrodzenia naszej liryki. Uzupełniają całość noty biograficzne, i tutaj mam zastrzeżenia, w notach tych jest sporo nieścisłości, są też poważne luki, co niewątpliwie osłabia tak potrzebną informacyjną stronę antologii.

Kolejnym rarytasem jest oczekiwany niecierpliwie, trzeci i ostatni tom świetnej powieści **Jarosława Iwaszkiewicza** „Siawa i chwała” (wydanie PIW-u). Tym samym znamy już całość jednej z najambitniejszych i najciekawszych powieści polskich ostatnich lat, próbę spojrzenia w niedawną przeszłość, z całym sentymentem do ziem podolskich, rodzinnych stron autora, ale i z rzadkim obiektywizmem oceny zjawisk społecznych i politycznych. Trzeci tom obejmuje już lata wojenne, aż po Wywołanie i pierwszy okres wolności.

Niemniejszą rewelacją stanie się na pewno także „**Czarna Róża**” **Juliana Strykowski** („Czytelnik”), nowa powieść autora „**Biegu do Fragała**”. W „**Czarnej Różie**” Strykowski pokusił się o pokazanie środowiska polskich komunistów przed wojną, autor przy tym nie kryje, że pierwszy szkic autobiograficzny odgrywa w tym utworze, utrwalającym czasów lwowskie, poważną rolę. Jak we wszystkich książkach Strykowski, i tutaj dominującą nutą ciekawie fabularnie rozwiązane utworu, jest motyw poszukiwania ideału, zmaganie z niemożnością pełnego jego osiągnięcia.

A teraz nowe osiągnięcie PIW-u, przepięknie wydany „**Faust**” **Goethego** w arcydoskonałym przekładzie **Feliksa Konopki**. Wydaje się, że od przekładu **Krajeńskiego** w 1857 czy **Jezierskiego** w trzydziście lat później, aż po międzywojenne zmagania z tekstem faustowskim **Zegadłowicza** i **Reisa**, nie mieliśmy tak wnioskującego w ducha utworu

przyswojenia arcydzieła Goethego.

Można jeszcze otrzymać w księgarniach najlepszą z pewnością powieść historyczną ostatnich lat, „**Nową baśń**” **Teodora Parnickiego** (Wydanie PIW-u), wspólny obraz okresu wieków XI i XII, ukazany w całej złożoności ówczesnych kultur, od Polski po Meksyk, ze szczególną uwagą na sprawy polskie, i szerzej, słowiańskie. Jak zawsze imponuje erudycja autora, jak i jego umiejętność ukazowania złożonych źródeł procesów dziejowych. Z osobą Parnickiego łączy się inna jeszcze książka, wydana przez FAX, mianowicie „**Cień sprawy**” **Jana Jerzego Piechowskiego**, wiąże się poprzez fakt, że Piechowski stworzyć mógł swoje dzieło w oparciu o stypendium ufundowane przez autora „**Nowej baśni**”. Piechowskiego zainteresował **Babilon**, wiek XIV przed naszą erą, w nim zaś jako zagadnienie człowieka, autor postawił przed sobą studium zagadnienia władzy i odpowiedzialności. Debiut powieściowy autora jest uduchowiony, powieść mimo pewnych, rzadkich zresztą pretensjonalności, ma duże walory intelektualne, ciekawi jako studium psychologiczne. Stypendium Parnickiego zaowocowało zatem skutecznie.

Jeszcze kilka pozycji nieco „lżejszego kalibru”. I tak entuzjastów filmu i zbieraczy fotostopów uradować album wydany przez WAF-a, opracowany przez **Konrada Eberhardta** pt. „**Aktorzy filmu polskiego**”, zestaw dobrych ujęć portretowych scen filmowych najpopularniejszych naszych aktorów wraz ze zwięzłymi ich charakterystykami. „**Iskry**” wydały powieść przygodową **Marcusa Clarke’a** „**Dożwotnie zesłanie**”, dzieje zesłańców w angielskich koloniach karanych na Tasmanii. Książka żywa w akcji, zachęca też swymi waleńkami moralnymi i dobrym realizmem literackim. Wydawnictwo Literackie wznosiło świetną, naprawdę zabawną, a przy tym podziwającą swoistą mądrością powieść **Kornela Makuszyńskiego** „**List z tamtego świata**”. Dobro to i przyjemna lektura wypożyczniowa. Mniej natomiast pożytku przyniesie, choć na pewno momentami zabawi, nowy tom głośnej **Czajki** (**Isabeli Stachowicz**) „**Malżeństwo po raz pierwszy**”, dalszy ciąg mocno koloryzowanych autobiograficznych wspomnień tej oryginalnej postaci z kręgów artystycznej bohemy (wydanie „Czytelnika”).

ności, na jakie napotyka znany włoszakowski rzeźbiarz ludowy — **Leon Dudek** (kłopoty ze zbyt wielkim rzeźb, mimo iż jednocześnie istnieje na nie popył).

Rzecz nie tylko wesoła

Szpilki wydrukowały pełny tekst szopki noworocznej, tradycyjnie już prezentowanej przez naszą Telewizję. Przypominamy, iż autorami owego widowiska były sławy naszej satyry: **Jan Brzechwa**, **Janusz Minkiewicz** i **Antoni Marianowicz**, a kulelki wykonał (w „Szpilek” — rysunki) **Jerzy Zaruba**. Szopka łącznie z rysunkami zajmuje na łamach „Szpilek” 6 stron, naszych Czytelników możemy wskazać poczęstować tylko krótkim z niej cytatem. Oto fragment szopkowej „wypowiedzi” **Kaliny Jedrusik-Dygatowej**:

„Bo nawet i takiego, kto mazgał i bigot, Jedrusik - Dygatowa przyprowadza o dygot. (dalej śpiewa na melodie „Kalinowe serce”) Dygatowej żony kalinowy mąż. Powieściowy rozdział wali nowy wciąż. Dygatowa proza, kalinowy tryl. Kalinowa proza, dygatowy styl. Mąż nowelki pisze, które są filmowe. Abym w filmie grała rolę kalinową. Kalinowa rola, dygatowy tekst. Dygatowa dola — kalinowy sex”.

I jeszcze cytuję z „**Kisiela**” (**Tygodnik Powszechny**), od lat siedemnastu — jak sam stwierdza — pisującego felietony. Tym razem **Siekan Kisielski** dotknął interesującego zjawiska, które mieni nominalizmem i pisze:

„Nominalizm, ogólnie mówiąc, polega na tym, że konkretne zjawiska i wydarzenia zastępuje się symbolicznymi nazwami, przy czym pomiędzy tymi właśnie nazwami, nie zaś pomiędzy faktami, toczy się gra, nazwy są czynnikami decydującymi, wyznaczającymi sytuację wielu ludzi i związków ludzkich, nazwy są problemem zabarwionym, konfliktowym, przynależności (...). Przebieg się przez świat nazw i symboli z powrotem do świata rzeczy — co by to była za ułga! Konkret, pojedynczy konkret — kraina moich marzeń!”.

LEKTOR